Pani Persiani

(Szkic Biograficzny.)

(DOKOŃCZENIE.)

Podczas drugiego pobytu w Neapolu 1835 roku, gdzie występowała w operze *Łucya z Lamermoru* umyślnie dla niéj napisanéj, w chwili kiedy się przebierała do drugiego aktu, weszła jakaś kobieta do jéj garderoby, a po kilku grzecznościach rzecze rozczulonym głosem:

«Ponieważ nie mam wieńca z kwiatów, którybym pani ofiarować chciała, pozwól abym go z twych własnych włosów uplotła.»

Tą nieznajomą była pani Malibran, biedna kobieta, czuła zapewne tchnienie śmierci od którego miał zwiędnąc jéj wieniec, chciała przeto własnemi rękoma dziedziczkę swoję uwieńczyć.

Tegoż samego roku, pani Persiani, wracając morzem z Neapolu do Florencyi, w skutku okropnéj burzy mo cno zachorowała. Zaledwie przybyła do Florencyi, gdzie miała grać w operze *Purytanie*, Dyrektor bez względu na jéj słabość, zmusił ją wystąpić przed publicznością. — Pani Persiani prawie umierająca wyszła na scenę, w nadziei że publiczność stanie w jéj obronie, lecz się zawiodła. — Czy to przez potajemną intrygę Dyrektora, czy też złość że w oczekiwaniu swoiém zawiedzeni zostali, Florentczykowie okazali się nielitościwemi i tęż samą śpiewaczkę, którą pierwsi z oklaskami przyj-

mowali, wygwizdali,—można z tego sądzić czy to przyspieszyło jéj uleczenie.—Pani Persiani więcéj oburzona jak wzruszona, stłumiła łzy, jako ofiara nierozważnego układu, spełniła aż do dna kielich goryczy. W kilka tygodni potém, kiedy odzyskała głos, publiczność przyjęła ją z ogromnemi okrzykami, lecz głowa jéj dumnie wzniesiona nie uchyliła się, uśmiech pełen obojętności, zastąpił od tego czasu, zwyczajne podziękowanie i wraz z końcem pory roku, teatr Florencki na zawsze pożegnała.—Odtąd oniemiała dla Florencyi.—Młoda śpiewaczka, słuszną tchnąc zemstą, nie przez dumę ale znając swą godność, stała się niewzruszoną na wszelkie nalegania, tak dalece, że we dwa lata potem, przybywszy do Florencyi dla odwiedzenia swego ojca, uwiadomiona że tłum ludzi zgromadził się pod otwarte jéj okna, rozpoczętą melodyą spiewać przestała i piano zamknęła.—Rzeczywiście miasto Danta, czyni sobie igraszkę z wielkich artystów, poetów lub śpiewaków, trzebaż koniecznie ażeby złorzeczyli mu i zapominali o niém?

Teraz zwróćmy się ku Bolonii, gdzie pani Persiani, oddaliwszy się z Florencyi w roku 1835 śpiewać miała w operach *Lunatyczka* i *Inez de Castro;* tam to pan Severini, wszedł z nią w układy dla teatru włoskiego w Paryżu. Lecz pani Persiani zawarłszy ugodę z niektóremi teatrami włoskiemi i niemieckiemi, mogła dopiero przybyć do Paryża w jesieni 1837 roku. Ta długa przerwa była ciągłym tryumfem dla śpiewaczki, w Liwurnie, w Wenecyi, gdzie Donizetti napisał dla niéj operę *Pia di Tolemmei*, nakoniec w Wiedniu gdzie mianowaną była

nadworną śpiewaczką Cesarza. Chwila udania się do Paryża nadeszła nareszcie, jakkolwiek pani Persiani była skromną i utalentowaną, rozpaczać jednak zaczęła czy stanie się godną publiczności francuzkiéj, tak dalece, że w dniu swego wystąpienia na scenie, była przejętą mimowolnym drzeniem i nogi uginały się pod nią, w pierwszych zaraz nutach *Lunatyczki*. Publiczność paryzka wielkie okazała pobłażanie młodéj prima donnie; lecz pani Persiani dobrze znając swą zdolność, mimo oklasków, czuła ile się okazała niższą w swoim talencie, ze łzami wróciła do domu i tego jeszcze wieczora chciała opuścić Paryż. Szczęściem przyjaciele namowili ją do powtórnego wystąpienia, które wielką zjednało jéj sławę.

W zimie 1839 r. pani Persiani, obsypana sprawiedliwemi oklaskami Londynu i Paryża, okazała się w całym blasku talentu, a diletanci słysząc ją w *Lunatyczce*, *Łucyi z Lamermoru*, *Don Żuanie*, *Napoju miłośnym*, i porównywając z najsłynniejszemi żyjącemi śpiewaczkami, niezaprzeczoną jéj wyższość przyznają.

F. S.

BELFEGOR

Powieść z dzieł Loeve Veimars.

(DOKONCZENIE.)

Zadługo byłoby opowiadać jakim sposobem Alma dostała się z Wiednia do Londynu, gdzie pokazywała sztuki w cyrku Astleja, a z cyrku do kocza Księcia Minto, który ją oddał młodemu Parowi Szkockiemu, dwoma bułanemi końmi, dwoma chartami i dwoma

chartami i dwoma lokajami, za bagatelną sumkę 2500 szterlingów, lecz wam powiem jeśli chcecie, dla czego Książe tak prędko się namyślił porzucić ułudną Almę.

Im więcéj Alma widziała baronów, lordów i parów, tém bardziéj kochała swego dawnego towarzysza, tancerza na linie, gdy Książe jéj pytał o jakim szczęśliwym śmiertelniku tak się zamyśla, odpowiadała bez żadnéj ogródki: «Myslę o Belfegorze, pięknym Weneckim tancerzu na linie!»

Milord zachodził w głowę, i nie raz zaczynał żałować, iż nie poprzestał na niewinnym uśmiechu żony. Umieścił Almę w wspaniałym appartamencie. Gdy ją pierwszy raz tam odwiedzał, zastał jak z rozkoszą przeskakiwała z dwoma zbłoconemi chartami, jedwabne nagromadzone poduszki, śpiewając pośpieszoną nutę weneckiéj saltarelli, klaszcząc w ręce za każdym podskokiem i donośnym krzycząc głosem: «Brawo! Don-Żuanie; brawo! Belfegorze.» Książe wchodząc, znajdował się właśnie na końcu łęku zakreślonego skokiem charta, cała massa długiego zwierza w sam brzuch go uderzyła, upadł na wznak, a w mgnieniu oka dwa inne ciała przygniotły go całym swoim ciężarem! Była to Alma i Don-Żuan, ubiegający się o zwinność i szybkość z Belfegorem, których nic w rozpędzie zatrzymać nie mogło. Szlachetny Par zniknął pod tancerką i psami, a żałośne jego jęki i gniewne wykrzyknięcią przygłuszyły szczekania i śmiech głośny.

Nazajutrz zastał Almę rzewnemi łzami płaczącą. Sniło się jéj w nocy, że Belfegor, jéj towarzysz z placu

Santa-Maria Formosa, spadł z wierzchołka swoich szczudeł i wyzionął ducha przed posągiem Madony. Książe nie mogł wstrzymać się od śmiechu. — «Tak, śmiéj się —rzekła Alma: — śmiéj ze mnie, że płaczę istoty, jakiéj niemasz w całéj Anglii! I cóż w toporadzisz? jestem szalona że przekładam tancerza nad lorda. Tak! ale bo to widzisz milordzie, tak miło i tak łatwo urodzić się w jednym z waszych bogatych pałaców, przepędzić dzieciństwo na kolanach pięknéj damy, którą nazywamy matką, pędzić młodość śród obfitości i uciech, mając dwudziestu lokai, co najmniejszego oszczędzają poruszenia, dwadzieścia koni, co się trudzą za ciebie, i ani raz nie dozwolą sprobować, czy należysz do tego samego rodzaju co nieszczęśliwy wieśniak, upadający pod ciężarem pracy i znużenia. Trzeba was kochać dla tego że wszystko to posiadacie. Lecz kto cierpiał głód i pragnienie, ten ani może kochać prawdziwie, ani uwielbiać tych, co całe swoje życie do wykwintnego zasiadali stołu. Kocham Belfegora tancerza, bo to człowiek silniejszy nad boleść i nędzę; bo to człowiek, jakiemi wy być nie potraficie. A on umarł, umarł, biedny Don-Żuan! Już nie ujrzę więcéj brata com znalazła na rynku publicznym, gdy mnie własna sprzedała matka, brata który codziennie krwawy pot ronił aby mnie żywić.

Od téj chwili Alma nie mówiła o niczém, tylko o Wenecyi; była przekonana że Don-Żuan nie żyje. Dniem przed przejazdzką po grobli Brigthońskiéj, wyraźnie oświadczyła księciu iż go nazajutrz porzuci, jeśli ją nie

zawiezie raz jeszcze zobaczyć ukochany Adryatyk, a pierwsze słowa, które wyrzekła do młodego Beauclerc, gdy wskoczył do powozu, były: — »Milordzie, czy zawieziesz mnie do Wenecyi?

— Do Rzymu, do Wenecyi, na koniec świata, moja luba, gdzie tylko ci się podoba! »

Alma skoczyła mu na szyję, i uściskała go w obliczu całéj wytwornéj Brigthońskiéj kompanii okrywającéj przechadzkę.

Pewnego dnia ładny yacht wpłynął na wielki kanał Wenecki. Zdięto żagle, wyrzucono linę na groblę i statek zatrzymał się przed królewską komorą, któréj obszerne mury jeszcze nosiły ślady alfresków Tyciana i Giorgona.

Wewnątrz yachtu, młoda kobiéta siedziała w salonie ozdobionym z niesłychanym zbytkiem złota, aksamitu i jedwabiu. Roztargniona, pośród najkosztowniejszych obrazów, porfirowych naczyń, rzadkich roślin otaczających rzeźbione z jesionu sciany, niedbale porzucona, z głową w tył pochyloną, na obszernym fotelu, który dawniéj dla chorych tylko służył, a teraz wymysł angielski w modę go wprowadził. Oczy mając wlepione w brzegi kanału rozszerzającego się przed nią, z rozczuleniem spoglądała przez szeroko rostwarte okno, na gmachy szybko przesuwające się przed nią.

— «Nie prawdaż że Wenecya moja jest piękna?—mówiła dumnie Alma do młodego lorda patrzącego obojętnie na wszystko. — I Szkocya także jest piękną — niedbale odpowiedział Książe:

— «Słuchaj, Milordzie, kiedy masz tę fantazyą, chętnie zostanę twoją żoną; lecz chcę ażeby towarzysz mego dzieciństwa, miał marmurowy grobowiec w kościele Sgo Marka, najszlachetniejszéj katakombie całéj Wenecyi, a jeśli mi tego odmówisz, wszak nie zapomniałam jeszcze sztuk i skoków, których mnie nauczył biedny Belfegor, a plac Sgo Marka do każdego zarówno należy.

— Będzie miał grób z białego kararyjskiego marmuru, szacuję bardzo twojego Belfegora, był to człowiek silny i zręczny, jak nasi przodkowie Szkoci i Rzymianie; byłby baronem za czasów krucyat. No, to już wszystko ułożone. Odprawimy za jego duszę jak najświetniejsze nabożeństwo. Pokażesz mi kościół Sgo Marka, Sgo Pawła, wszystko co tylko będziesz chciała. Potém rozwiniemy żagle z powrótem do Anglii, i tam zostaniesz moją żoną. Ani dbam co na to powie Londyn.

—Masz wielką odwagę, milordzie!— Miłość, najczulszą miłość, Almo. — Miłość? rzekła: rzucając się na poręcz krzesła i mierząc go oczyma od stóp do głowy.— Doprawdy, Milordzie, iż bym ci szczerze radziła, nie wymawiać tego słowa dopóki będziemy w Wenecyi!

Gdy noc zawlokła swe krepy, Alma, osłonięta ogromnym wualem, szła szybko; nagle zatrzymała się i z podziwieniem nadstawiła ucha. Gdy obchodziła węgieł pałacu Malipiero, mając wejść na plac Maria-Formosa, wiatr przyniósł jéj zbyt znany odgłos fletu i tamburyna. Zbladła, zaledwie kilka kroków mogła daléj postąpić... postrzegła wreście odosobnioną światłość, tworzącą koło na środku placu. Na wierzchu drąga przytwierdzona

była obręcz; przez tę obręcz ujrzała jak najwyraźniéj, przesuwający się cień Belfegora! Biedna dziewczyna, serce jéj bić gwałtownie zaczęło! Przyniosła wprawdzie do Wenecyi łzy za Belfegora pogrzebionego, z zapałem wznawiała jego wspomnienie, pragnęła wystawić mu pomnik; lecz nie spodziewała się bynajmniéj zobaczyć Belfegora żywego. Uczuła się mdlejącą, nie z radości, lecz z przestrachu.

W oczach Almy, Belfegor zamknięty w pięknéj alabastrowéj urnie, okryty marmurową draperyą, pod owisłemi gałęźmi płaczącéj wierzby, same tylko posiadał cnoty. Lecz znajdując go tłustym, świeżym i zadowolonym ze swojego losu, na tym samym bruku na którym go niegdyś zostawiła, przypomniała sobie że jéj bożek był niegdyś nieco pijakiem, dosyć gniewliwym i wielkim ladaco. Lecz najprzody przyszło jéj na myśl, że Belfegor nigdy jéj nie kochał.—Lecz ja go kochałam!—mówiła sobie.—Nie dla niegoż to przybyłam do Wenecyi? Tak jest, pojdę mu powiedzieć com dla niego uczyniła, daj Boże aby był wart kochania, które mu z tak daleka przynoszę.

Belfegor tymczasem, nie domyślając się bynajmniéj szczęścia co go czekało, smutnie zwijał swoje manatki, gasił świeczki, i zarzucając stary płaszcz na poetyczny swój ubiór, gotował się iść do domu. Alma poszła za nim przez kilka ciasnych przechodów, aż do walącego się domku na ulicy Stella. Belfegor otworzył drzwi z hałasem, wszedł do wielkiéj izby źle oświeconéj, i rzucił się na stary stołek, przed stolikiem, na którym stała

wieczerza. Wyjął potém długi nóż z kieszeni, otworzył go, i uderzając kilka razy trzonkiem o stół, krzyknął niecierpliwie: «Karlino!»

Alma została przy drzwiach, przypatrując się bacznie człowiekowi co ją znęcił, i izbie w któréj się znajdował. Belfegor wydał się jéj mniéj pięknym niż przedtém. Uczuła, sama jednak nie chcąc wyznać przed sobą, że nędza tego domostwa, piękniejszą i bardziéj rozczulającą była w jéj wspomnieniach niżeli w rzeczywistości. Sciany tak były czarne, sprzęty tak proste, obrus splamiony wczorajszém winem i mięsiwem, nie licząc kilka ohydnych dziur! W Londyńskim swoim pałacu marzyła o nędzy eleganckiéj, o romansowém ubóstwie, bez tych wyziewów co ją tak nieprzyjemnie teraz uderzały, bez téj nieczystości co raziła jéj zmysły.

Zawstydziła się nakoniec swojéj słabości i wahania, i zbliżając się z wdziękiem, chociaż cała drżąca, słabym i zmienionym rzekła głosem: — Belfegorze, roztwórz ręce na przyjęcie biednéj Almy! — Belfegor zerwał się zdziwiony. — Alma! zawołał, — tak jest, przypominam sobie Almę, dobrą dziewczynę co tak zręcznie skakała; ale ty nie jesteś Alma! — Belfegorze! i któżby przyszedł do ciebie podczas tak ciemnéj nocy, jeśli nie Alma! Czy wiesz żem liczyła minuty odkąd rozłączono mnie z tobą? Czy wiesz, żem dla ciebie wszystko opuściła! mogłabym pojść za lorda, a jednak wolę pędzić życie z tobą, wolę być twoją żoną.”

Belfegor powstał zwolna, bacznie obszedł ją wokoło dotknął się z nieufnością jéj wielkiéj koronkowéj

zasłony i tureckiego szala, i usiadł znowu przy stoliku kiwając głową. — «Chcesz zostać moją żoną, Almo? To coś podobne do fantazyi wielkich dam, ale przeminie pierwszéj przychłodnéj nocy. Ja bardzo dobrze pojmowałem przyczynę twojéj ucieczki. Kij starego gdyracza, suchy chleb któryśmy razem z jego psem podzielali, pewność skręcenia karku lada dzień, to było właśnie piękne życie dla młodéj dziewczyny! Gdybym ja tylko podobne mógł tobie ofiarować, radziłbym ci Almo uciekać natychmiast i starać się zostać wielką damą, co doprawdy daleko wygodniejszém jest rzemiosłem. Ale los mój bardzo się zmienił od roku! Pewnego wieczora deszcz lał tak wielki, że Szesnokoforus niemógł ani jednéj zapalić świeczki, powrócił przeto zły do domu, nie śmiałem domagać się wieczerzy, którą i tak zawsze dawał mi niechętnie; rzuciłem się więc na słomę, probując zasnąć z próżnym żołądkiem; lecz głód odpędzał sen z powiek moich, wtym stary mrucząc otworzył szafę, wyjął duży półmisek wybornéj polenty, butelkę wina, i tak długo się raczył, że się nareście przewalił na poręcz stołka i głowę opuścił na piersi. Wstałem wówczas, zbliżyłem się ostróżnie do stolika; już pochwyciłem półmisek, gdy silne uderzenie pięścią, wznak mnie obaliło, a gdym chciał powstać, postrzegłem go zbliżającego się do mnie z kijem. Wówczas niesprawiedliwość, srogość, odegnały strach, jaki od dzieciństwa wzbudzał we mnie Sklawończyk. Porządnym kułakiem obaliłem go na podłogę, i zacząłem deptać po nim nogami. Na próżno błagał łaski, nie słuchałem

go, mściłem się za dziesięć lat męczeństwa! gdym ochłonął z wściekłości już był sztywny i czarny. Odtąd jestem panem, nie lękam się już kija; skacze sam dla siebie i zawsze jem smaczną wieczerzę. Los mój jest szczęśliwy, a kiedy mnie kochasz, jak powiadasz, zezwalam podzielić go z tobą.«

Alma przestraszyła się tą powieścią. O! jakże głód przywodzący aż do zabójstwa, jakże nędza co zmusiła tych dwóch ludzi katować się wzajemnie, straszną się jéj wydała!. —No, Almo wesoło, rzekł Belfegor: musimy uroczyście obchodzić twój powrót. Nie ma tu już nad nami pana z kijem, możemy sobie spokojnie wieczerzać. I to mówiąc, zamknął na klucz drzwi bedące w drugim końcu izby, wyjął z kąta dwie zakurzone butelki, rozciągnął zmoczony swój płaszcz na chwiejącym się stołku a wziąwszy Almę za rękę posadził ją przy sobie. — W samą porę przybyłaś, rzekł: stawiając przed nią wyszczerbioną miskę; mam właśnie pańską wieczerzę.»

Nieznośny zapach czosnku, cebuli i pieprzu, wzbił się ku twarzy Almy, i o mało nie zemdlała. Jakże żałowała francuzkiéj kuchni czekającéj ją na pokładzie yachtu, i upudrowanych lokai w białéj liberyi co jéj na śrebrnym usługiwali serwisie! Usiłowała jednakże jak najlepszą okazywać powierzchowność; zdjęła rękawiczki, kładąc one z wdziękiem na stole, wzięła białą rączką ciężką łyżkę cynową.

Belfegor pochwycił rękawiczki, rzucił je pod stół, a czarny i brudny psisko poszarpał je natychmiast.

— Precz z temi niepotrzebnemi gałgany, milutka Almetto. Jutro przypomnę ci jak się tańczy na linie i przeskakuje przez obręcz a bajoki jak deszcz będą padać. Takaś piękna że całą do siebie zwabimy Wenecyę! No, pijmy teraz; trzeba wypróżnić te dwie ostatnie butelki.

Alma uśmiechała się ze strachu na każdy wyraz tego człowieka; tak jéj się wydawał strasznym i prostym, iż lękała się obrazić go. Belfegor coraz stawał się weselszym, pił, jadł, śpiewał, i kiedy niekiedy podchwytywał donośnego całusa na ustach nieśmiejęcéj mu się bronić Almy, która ciągle tylko patrzała na drzwi i pragnęła co prędzéj uciec. Ucieczka była niepodobną; drzwi były mocno zamknięte; Belfegor coraz pijańszy, a biedna Alma drżała jak listek.

Wtém zapukano mocno do drzwi. — Ach! — zawołał — otoż i Karlina....

Zaledwie drzwi otworzył, dziewczyna z zaczerwienioną twarzą, z włosami przewiązanemi sznurkiem szklannych pereł, z szeroką nogą, obutą w różowy atłasowy bucik, wyszywany blaszkami i zbryzgany błotem, wpadła do izby.

— Otóż teraz widzę dla czego niegodziwy łotrze niewziąłeś mnie dziś na rynek! — krzyknęła na Belfegora, wyciągając pięść do nieszczęśliwéj Almy, omdlałéj prawie na stołku. — O! już ci jak widzę dwóch żon potrzeba A hultaju, czy to myślisz zostać turkiem? kiedy ja i biedne moje dzieciaki umieramy z głodu.

Na krzyk przerażający matki, przybiegło dwoje szkaradniejszych jeszcze dzieci w łachmanach, i z płaczem uczepiło się jéj spódnicy.

Belfegor bynajmniéj nie wzruszon y, wstał i zdiął ze ściany ogromny batóg, lecz Alma pochwyciła go za ramie.—Don-Żuanie, na miłość boską pozwól mi przemówić! —zawołała —.... Myślałam że jesteś wolny... omyliłam się. Bądź szczęśliwy Don-Żuanie, ale przez litość, pozwól mi odejść. Nie powinnam już dłużéj oglądać ciebie.—O ho! czy tak, jak widzę moja śliczna, nie jesteś już tą Almą, któréj się wszyscy niegdyś dziwili. Jestem pewny żebyś drżała stawiając nogę na linie, a moja Karlina skacze po żelaznym drucie jak koza.... nie zatrzymuję cię... na nic mi się nie zdasz... Idź sobie.

Belfegor drzwi otworzył, i Alma jak strzała puściła się śród ciemności.

Tego jeszcze samego roku, Alma zaślubioną została księciu Beauclerc de Camarthen i niemasz w Londynie żadnego odznaczającego się towarzystwa, któreby sobie nie miało za największy zaszczyt posiadać księżnę Almę.

KONIEC ROKU 1839.